Roger Dee

Ściana płaczu

(Wailing Wall)

`

Galaxy, July 1952
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the short story "Wailing Wall" by Roger Dee (Roger D. Aycock), published by Project Gutenberg, January 16, 2016 [EBook #50940].
According to the included copyright notice:
"This etext was produced from Galaxy Science Fiction July 1952. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Odrętwiały ze zgrozy, która nie opuszczała go od chwili kiedy odzyskał świadomość stwierdzając że jest nagi i pozbawiony broni, Farrell nie miał pojęcia od jak dawna już pozostaje zagubiony w ciemnościach wydrążonej setkami tuneli kopuły Hymenopów.

Ciemność i wilgotny chłód powietrza mówiły mu, że znalazł się głęboko pod ziemią, być może na najniższym poziomie rojowiska. Gdzieś tam w górze, leżały milczące komory audiencyjne, pogrążone w mniej gęstym mroku, uginające się pod ciężarem pyłu całych pokoleń i zamieszkałe wyłącznie przez tajemnicze pszczele obrazy. Na zewnątrz kopuły, w zakolu leniwie płynącej srebrzystej rzeki, rozpościerała się wioska Sadr III, z garstką niegdyś normalnych terrańskich kolonistów, zaś na wzgórzu ponad wioską, mieli czekać na niego w niesprawnym Marco Cztery, Gibson, Stryker i Xavier.

Czekać na niego…

Równie dobrze mogli już wracać na Terrę i znajdować się pięćset lat świetlnych stąd.

Sześć stóp od niego, ściany korytarza z obu stron lekko zawijały się u góry, spłaszczony owal konstrukcji tunelu zaprojektowany był dla obcych o wielu stopach, oświetlony dostatecznie dobrze dla fasetowych oczu potrzebujących zaledwie niewielkiego ułamka światła niezbędnego do tego by mógł widzieć Ziemianin. Farrell był w stanie dostrzec coś zaledwie na odległość dwu jardów, przy tym niewyraźnie, jakby przez gęstą mgłę; dalej nie było już niczego, poza ciemnością i obcym labiryntem krzyżujących się wzajemnie korytarzy, które zataczały kręgi przez wieczność, bez końca.

Za nim podążali ścigający – ludzcy tubylcy lub najeźdźcy Hymenopi, nie miał możliwości aby to sprawdzić. Zbliżali się do niego z suchym, cichym szelestem, sugerującym bliskie niebezpieczeństwo, co poderwało Farrella i pchnęło go na ślepo w głąb labiryntu. Po to, by po chwili się zatrzymał. Stanął roztrzęsiony, kiedy dokładnie takie same szelesty doleciały do niego z przodu.

Czegoś takiego właśnie bał się od samego początku. Nie mógł posuwać się naprzód, ani nie mógł się wycofać.

Skręcił w poprzeczny korytarz po swojej prawej stronie, po chwili zobaczył niewyraźny owalny otwór, który wydawał się nieco większy niż otaczająca go ściana. Rzucił się w niego jakby prowadził do jakiegoś schronienia, i zbyt późno uświadomił sobie, że ta decyzja została na nim wymuszona.

Wszystko zostało zaplanowane od samego początku, że ma wybrać tę a nie inną drogę. Przez cały czas był popędzany, jak zwierzę bez postronka, kierowany w odpowiednią stronę przez poczucie nieustannego niebezpieczeństwa, którego formy nigdy sobie do końca nie uświadamiał. Wiedzieli którędy idzie i dlaczego.

Ale gdzieś tam dalej, na końcu bezcelowej wędrówki tunelem, widać było światło. Gdyby udało mu się tam dotrzeć, mógłby coś zobaczyć…

Nie znalazł światła, a jedynie mniejszą ciemność. Tunel doprowadził go do jakiejś większej komory, której zewnętrzne brzegi ginęły w ciemnościach, ale na środku której stała potężna cylindryczna maszyna, wyglądająca jednocześnie i obco i znajomo.

Podszedł do niej z wahaniem, zdezorientowany przez chwilę nierzeczywistym wrażeniem nawracającego doświadczenia, pozornie prawdziwego wspomnienia, deja vu.

To był generator Fali Pierścieniowej, i dla tej właśnie rzeczy zaryzykował wyprawę do wnętrza kopuły.

Jego dezorientacja wynikała z podobieństwa stojącego przed nim urządzenia, do uszkodzonego generatora na pokładzie Marco Cztery, oraz z silnych skojarzeń, które ono budziło: Gibsona pracującego nad naprawą siłowni statku, jego podkreślonej czarnymi brwiami twarzy, rzucającej groźne spojrzenia i skupionej, silnego brązowego ciała, poruszającego się ze swobodną ekonomią ruchu zapaśnika; oraz Strykera, łysego, grubego i zatroskanego, z głośnym sapaniem krążącego zejściówką góra – dół, między maszynownią a pomieszczeniem z mapami, jego myśli i troski podzielone były między pracę Gibsona i przedłużające się milczenie Farrella w kopule.

Stryker w tym momencie najprawdopodobniej żałował swego wrodzonego optymizmu, który pchnął go do wysłania nawigatora w miejsce, w które sam nie mógł pójść. Zdenerwowanie i niepokój, które pewnie zastąpiły pompatyczną pewność siebie Strykera, stłumiły tryskający zazwyczaj z niego potok socjo-psychologicznych truizmów rodem z Podręcznika Odzyskiwania Kolonii.

— **J**eśli chodzi o adaptacyjność — powiedział Stryker wieczorem, wieki wcześniej, — homo sapiens bywa dosyć dziwnym gatunkiem. Bardziej może podatnym na paradoks tępego uporu, niż jakakolwiek inna forma życia, na jaką moglibyśmy się natknąć się tutaj w kosmosie.

Przesunął wygodniej swoje potężne ciało leżące na trawie pod otwartym włazem Marco Cztery. Nie przeszkadzał mu szczęk narzędzi wewnątrz statku, gdzie Gibson i Xavier, mech Marco, pracowali nad uszkodzoną siłownią. Splótł palce na swym tłustym, wydatnym brzuchu i popatrzył spokojnie przez zmrok na Farrella, który leżał na wznak, palił papierosa i obserwował coraz jaśniejsze gwiazdy na wieczornym niebie.

— Izoluj ludzką kolonię od jej ojczystej planety przez dwa stulecia, na połowę tego okresu oddaj ją w niewolę hegemonii tak obcej jak cywilizacja hymenopskiego roju, a potem pozostaw ją na pastwę tylko własnych narzędzi, pozbawiając dostępu do wszystkich innych rzeczy, jakie mogą stworzyć wyrafinowane systemy społeczne. Ale ludzie zasadniczo pozostali tacy sami, Arturze, pomimo nabytych powierzchownych zmian. Są kompletnie niezdolni, do rozwinięcia jakiegokolwiek systemu mechanizmów kontrolnych, jakiego inni ludzie nie potrafiliby zrozumieć, przy założeniu że znane są uwarunkowania środowiskowe, które ten

system powołały do życia. W swej głębi, ci tubylcy z Sadr III nie są odmienni od nas. Nie pozwalają na to mechanizmy dziedziczenia.

Farrell, słuchając jednym uchem, wpatrywał się w górę, w białego jaskrawo świecącego Deneba i bliźniacze niebiesko-żółte klejnoty Albireo. Szukał dalekiej iskierki Słońca. Ziemia leży, pomyślał sobie, pięćset lat świetlnych stąd. Z Ziemi cała ta barwna obca panorama gwiezdna, była zaledwie jednym z punktów odniesienia dla podrzędnych astronomów, pomniejszym układem gwiazd, doskonale znajomym i niczym się nie wyróżniającym.

Pomrugiwania rozjaśniających się okien, skaczące po całej wiosce, ściągnęły z powrotem jego uwagę na porozrzucaną gromadę domków nad rzeką, oraz na wielką, niepokojącą półkulę kopuły Hymenopów, górującą ponad nimi jak olbrzym nad pigmejami. Podniósł się i usiadł nerwowo, wiatr rozwiał mu włosy i poniósł wirujący dymek jego papierosa w cienkich latających spiralach.

— Zabrzmiało to tak gładko, jak w rozdziale Reorientacja, z którego zaczerpnąłeś ten kawałek — stwierdził Farrell. — Ale tutaj to nie pasuje, Lee. Co koloniści przeżyli podobne perypetie, co inni koloniści, których odnaleźliśmy, ale nie reagują tak samo jak tamci. Albo ci cholerni Hymenopi wyprali im mózgi permanentnie, albo mamy tu do czynienia z jakimś plemieniem dziedzicznych maniaków.

Stryker szturchnął go sokratycznie.

— A konkretnie?

— Kiedy rozbiliśmy się tutaj pięć tygodni temu, we wiosce żyło równo tysiąc tubylców, plus minus parę niemowląt na rękach. Od tego czasu z tej społeczności ubyło stu dwudziestu sześciu członków, wszyscy na skutek samobójstw lub morderstw. Początkowo wszyscy mieszkańcy wioski zbierali się o w wschodzie słońca i wchodzili na godzinę do kopuły, zanim udali się w pole. Od czasu naszego przybycia ten okres skracał się coraz bardziej, aż do kilku minut. Tyle udało nam się dowiedzieć z obserwacji. Drogą bezpośrednią nie dowiedzieliśmy się kompletnie nic, poza tym że oni znają standardowy język terrański, ale go nie używają. Jaki więc to jest system?

Stryker pociągnął z zakłopotaniem za kosmyk na obwarzanku siwych włosów, pozostawionych mu przez lata.

— I na tym w tej chwili polega główna zagwozdka, przyznaję… gdyby tylko chcieli z nami rozmawiać, mogliby nam powiedzieć, jakie są ich pragnienia, obawy i problemy, my zaś byśmy wiedzieli co jest nie tak, i co można w tej sytuacji zrobić. Ale mechanizmy kontrolne, wtłoczone im siłą przez Hymenopów, albo nabyte przez nich od czasu oswobodzenia, wydają się zmieniać ich oryginalną ideologię tak radykalnie, że…

— Że to ewidentni szaleńcy — dokończył za niego Farrell. — Cała ta koncepcja jest nienaturalna, Lee. Zastanów się czymś takim: Wysłaliśmy Xaviera ze statku, a ten spotkał się z pierwszym tubylcem, który się napatoczył, i nasz tubylec rozmawiał z nim. Słyszeliśmy to wszystko przez monitoring. Tubylec nazywał się Tarvil, mówił standardowym terrańskim i zachowywał się przyjaźnie. Potem pokazaliśmy się sami, a kiedy zobaczył że jesteśmy ludźmi, a nie mechami jak Xav, nabrał wody w usta. Tak

samo jak wszyscy pozostali we wiosce. Martwi mnie to, Lee. Jeśli na pokładzie Marco nie spodziewali się ludzi, to kogo w imię Boskie oni się spodziewali?

Usadowił się niespokojnie i odgasił papierosa.

— W każdym razie, to nieistotna planeta, cała pokryta oceanem poza tym jednym niewielkim kontynentem. Uważam, że powinniśmy ją spisać na straty i zabierać się stąd w diabły, zaraz jak tylko naprawimy generator fali pierścieniowej Marco Cztery.

— Nie możemy spisać jej na straty — sprzeciwił się Stryker. — Poza odzyskaniem kolonii, możemy zdobyć dla Federacji wartościowe źródło morskiego pożywienia. Arthur, chyba nie pozwolisz żeby garstka otumanionych ludzi zalazła ci za skórę, co?

Farrell mruknął coś niecierpliwie pod nosem i zapalił kolejnego papierosa. Króciutki rozbłysk jego zapalniczki rozdarł ciemność i pozwolił wychwycić szybki ruch kamieni między Marko Cztery i wioską.

— Jest pewien powód, dla którego tak się niepokoję — odparł Farrell. — Ci Sadrianie mogą być zupełnie nieszkodliwi, ale wpadli na pomysł wystawienia posterunku, który ma nas pilnować. Dzisiaj też, na tej trawiastej równinie są wartownicy. — Odwrócił się z niepokojem do Strykera. — Obserwowałem przez infra-skaner jak ci wartownicy zmieniają się i nic do siebie nie mówili. Śledziłem ich powrót do wioski, i nie widziałem, aby którykolwiek z nich odezwał się…

W wiosce krzyknął jakiś człowiek. Był to krzyk czystego cierpienia, który poderwał obu mężczyzn na baczność. Po chwili usłyszeli gorączkowy tupot biegnących stóp, niemożliwy do pomylenia z takiej odległości. Uciekający człowiek wyskoczył z ciemnej grupy domków, przebiegł przez rzekę i popędził przez trawiastą równinę, przez cały czas krzycząc.

Pościg dopadł go w połowie drogi do statku. Dostrzegli tylko krótką szamotaninę, a następnie rozbiegające się cienie milczących postaci. Potem już nic.

— Znowu to zrobili — powiedział Farrell. — Któryś z nich próbował dostać się do nas. Pozostali go zabili i kto może wiedzieć, jakiego rodzaju pokręcone motywy nimi kierowały. Codziennie rano chodzą w milczeniu do kopuły. Pracują potem przez cały dzień na polach, nie patrząc nawet na siebie nawzajem. Ale każdej nocy co najmniej jeden z nich próbuje uciec z wioski i dostać się tutaj – tak jak to było przed chwilą. Lee, nie moglibyśmy im zaufać, nawet gdybyśmy byli w stanie ich zrozumieć!

— Na tym polega nasza praca, żeby ich zrozumieć — zapalczywie odparł Stryker. — Naszym celem jest odnajdywanie kolonii wypaczonych przez Hymenopów, oraz naprawa sytuacji w nich, jeśli jesteśmy w stanie to zrobić. Jeżeli nie damy rady, wzywamy długoterminowy zespół reorientacyjny i po trzech pokoleniach cywilizacja z powrotem wraca do terrańskiego społeczeństwa. Bardzo pomaga to, że zniewolone kolonie nieodmiennie tracą swoją wiedzę dotyczącą długowieczności; nie otrzymają jej na powrót dopóki nie będą do tego gotowe.

— Arthurze, widziałem parę paskudnych efektów eksperymentów Hymenopów na ludzkich koloniach. Na przykład dziewiąta planeta Bety Pegaza – ponownie odkryta, jak mi się wydaje, w 3910 – tam gdzie rozwinęła się religijna fiksacja na tle kultury urodzaju i płodności, mania rozwinięta przez Hymenpów, aby dostarczyć taniej siły roboczej dla ich kopalń. Tubylcy zaprzestali górnictwa dopiero kiedy Hymenopi zrezygnowali z inwazji i wycofali się z powrotem na 70 Wężownika, ale ciągle mnożyli się jak króliki, gdy ich odnaleźliśmy. Hołdowali przekonaniom kulturalnym podobnym do obserwowanych pośród ras orientalnych ze starożytnej historii Terry, ale nie poszli za orientalną tradycją nienaruszalnych świętości. Nie mogli tego zrobić, było ich zbyt wielu. Do czasu kiedy ich odnaleziono, ich populacja liczyła czternaście miliardów, i pożerali się nawzajem. A jednak, wyprostowanie tego wszystkiego zajęło tylko trzy pokolenia.

Stryker wziął jednego z papierosów Farrella i spokojnie go zapalił.

— Jeżeli już o tym mówimy, to Ziemia także miała swój własny zestaw dziwacznych cywilizacji. Przypominam sobie o jednej, która istniała nie dawniej niż w dwudziestym wieku i dorównywała wszystkiemu, na co możemy natknąć się tutaj. Każde społeczeństwo powinno być wyposażone w zestaw społecznych mechanizmów kontrolnych, mających na celu dostarczenie mu, jako całości, minimum przyjemności, minimum niewygód, ale ci antyczni ziemscy Dobuanie – wyspiarscy aborygeni, o ile pamiętam – dostosowali się do otaczającego ich środowiska w sposób dokładnie przeciwstawny. Odwrócili normę i stali się społeczeństwem paranoików, nienawidzących się nawzajem w stopniu wprost proporcjonalnym do bliskości związków między nimi. Mężowie i żony nie cierpieli się nawzajem, synowie i ojcowie…

— Teraz opowiadasz mi tu bajki — zaprotestował Farrell. — Tego rodzaju społeczeństwo byłoby zbyt irracjonalne, aby funkcjonować.

— Ale ten system działał — upierał się Stryker. — Był całkiem stabilny, dopóki pozostawali w izolacji. Akceptowali go, ponieważ nie znali niczego innego i gwałtowne przewartościowanie, negujące nabyte zwyczaje, wytworzyłoby niemożliwy do przyjęcia konflikt społecznościowy. Po Czwartej Wojnie zostali zreorientowani i kolejne pokolenia przystosowały się do normalnego życia bez żadnych trudności.

Z góry doleciał do nich szmer, który zmusił ich do uniesienia wzroku. W otwartym włazie wejściowym Marco stał Gibson.

— Narada — oznajmił Gibson ciężkim barytonem i wszedł z powrotem do środka.

Poszli szybko za Gibsonem nie zadając żadnych pytań, bardziej zbici z tropu jego zwięzłym rozkazem, niż zabójstwem na trawiastej równinie. Znając Gibsona wiedzieli, że nie zmarnowałby czasu nawet na to jedno słowo, gdyby nie pojawiła się jakaś ważna sprawa, która je usprawiedliwiała.

Czekał na nich razem z Xavierem w pomieszczeniu z mapami. Po raz tysięczny, widząc tę dwójkę obok siebie, Farrell nie mógł się powstrzymać przed porównaniem ich: robot, idealnie funkcjonalny, począwszy od elastycznego szarego plastoidowego ciała, po pozbawioną rysów owalną płytę twarzy, uprzejmy i efektywny, niezdolny do odczuwania emocji; Gibson, niski, ciemnowłosy, z ciężkimi brwiami podkreślającymi kompetencję, pozbawiony poczucia humoru. Poza zdolnością do inicjatywy, pomyślał Farrell, tych dwu mogłoby się zamienić między sobą, i nikt nie byłby w stanie zauważyć żadnej różnicy.

— Razem z Xavem zidentyfikowaliśmy nasz problem z generatorem fali pierścieniowej — powiedział Gibson. — Generator działa, ale nie emituje na zewnątrz zniekształcenia przestrzennego. Coś tutaj, na Sadr III, je neutralizuje.

Wpatrywali się w niego, jakby właśnie im powiedział, że planeta jest płaska.

— Ale po wytworzeniu fali pierścieniowej, nie można jej całkowicie zablokować — zaprotestował Stryker. — Żeby ją wygasić, trzeba by rozwalić generator na kawałki.

— Jednak samo pole zniekształcające może zostać wytłumione — odparł Gibson. — Dwa różne generatory, działające na różnych poziomach fazowych, będą heterodynować na częstotliwości reprezentującej średnią zmienność między tymi poziomami. Powstająca na skutek tego faza zdudnienia będzie zbyt słaba do podtrzymania obu pól, i jedno z nich lub nawet obydwa naraz zostaną wytłumione. Jeżeli sobie przypominacie, z tego właśnie powodu wszystkie budowane na Ziemi siłownie fal pierścieniowych ustawiane są na tę samą fazę.

— Ale ci tubylcy nie mogą przecież mieć siłowni korzystającej z fali pierścieniowej! — dyskutował z nim Farrell. — Gib, na Sadr III jest tylko jedna wioska, mała, nic nie znacząca osada rolnicza! Gdyby mieli generator fali pierścieniowej, byliby zmechanizowani. Mieliby pojazdy, porty lotnicze…

— Hymenopi mieli generatory fal pierścieniowych — przerwał mu Gibson. — I zostawili tutaj swoją kopułę, pierwszą niezniszczoną kopułę, jaką do tej pory znaleźliśmy. Dalej już się domyślcie.

Przetrawiali to stwierdzenie w milczeniu. Stryker powoli bladł, tak jakby potrzebował czasu na to, aby strach przedostał się przez jego potężne ciało. Niepokój Farrella, aż do tej chwili pozbawiony konkretnego źródła, wzrósł do poziomu zimnej pewności.

— **C**hyba bałem się czegoś takiego już od czasu mojego pierwszego lotu, nawet sobie tego nie uzmysławiając — stwierdził. — Wydaje się rozsądne, że jeżeli Hymenopi dali sobie spokój z kręceniem się po wszechświecie, to możemy w końcu natknąć się na nich gdzieś tu, na pograniczu. Podróż powrotna przez dwadzieścia tysięcy lat świetlnych na 70 Wężownika, to kawał drogi… Gib, myślisz, że oni nadal mogą tu siedzieć?

Gibson nie wzruszył ramionami, ale jego głos zdawał się to robić za niego.

— Nie przejmowałbym się odpowiedzią na to pytanie, dopóki nie uda nam się uruchomić generatora Marco.

W ustach innego człowieka mogłoby to oznaczać ironię. Znając Gibsona, Farrell i Stryker przyjęli to jako czyste stwierdzenie faktu.

— A więc stoimy wobec umysłu-roju Hymenpów — podsumował Stryker. I nie możemy przed nim uciec. Jakieś sugestie?

— Będziemy musieli znaleźć ten blokujący nas generator i wyłączyć go — zaproponował Farrell, wiedząc że było to jedyne i oczywiste rozwiązanie.

— To tylko jedna z alternatyw — poprawił go Gibson. — Jeśli uda nam się określić poziom fazowy, wykorzystywany przez blokujące zniekształcenie przestrzenne, może będziemy w stanie skorygować ustawienia generatora Marco, tak by do niego pasowały. Kiedy oba pola wejdą w rezonans, nie będą się wygaszać. — Dostrzegł niewypowiedziane przez Strykera pytanie i od razu na nie odpowiedział: — To zajęłoby tydzień. Może nawet dłużej.

Stryker odrzucił tę możliwość.

— Za długo. Jeśli są tu Hymenopi, dopadną nas do tego czasu.

Farrell włączył ekran skanera kabiny z mapami i ustawił go na stok na którym znajdowała się wioska. Porozrzucane domki z ciemnymi, skośnymi dachami i rozświetlonymi przez lampy oknami, rysowały się na nim całkiem wyraźnie. Spoza tego bezładnego skupiska wystawała wielka półkolista krzywizna kopuły, połyskując w świetle gwiazd szarą metaliczną barwą.

— Może wyciągamy wnioski zbyt pochopnie — powiedział. — Jesteśmy tutaj od pięciu tygodni i nie dostrzegliśmy nawet śladu Hymenopów, a z tego co o nich czytałem, zawsze rzucali się na nas w chwilę po wylądowaniu. Bardziej prawdopodobne jest, że odlatywali z Sadr III w zbyt wielkim pośpiechu, aby zniszczyć kopułę, i ich siłownia fali pierścieniowej ciągle działa.

— Możesz mieć rację — odparł Stryker, z rozjaśnioną twarzą. — Dwieście lat temu już od pierwszej potyczki atakowali nas bez pardonu, i byli cholernie blisko pokonania nas, zanim nie nauczyliśmy się jak z nimi walczyć.

Popatrzył na milczącą plastoidową postać Xaviera, z uczuciem bliskim sympatii.

— Bez Xava i jego braci, przegralibyśmy tę wojnę. Nie mogliśmy mierzyć się z umysłami-rojami Hymenopów, nie bardziej niż rój koników polnych mógłby stawić czoła kolonii os. Ale zbudowaliśmy mechy, które były w stanie to zrobić. Cybernetyczne mózgi i mechaniczni członkowie załogi, statki które same myślały…

Rzucił kątem oka na ekran wizyjny, z tajemniczą, poznaczoną smugami gwiezdnej poświaty, kopułę.

— Ale oni nie myślą tak jak my. Może zostawili tutaj jakąś tylną straż, albo założyli w kopule pułapki.

— Jeden z nas będzie musiał się dowiedzieć jak sprawy stoją — oświadczył Farrell. Niespokojnie zrobił kółko wokół kabiny z mapami, ważąc prawdopodobieństwa. — Zdaje się, że to moja działka.

Stryker zmierzył go wzrokiem.

— Ty? Dlaczego?

— Dlatego, że jestem jedynym, który może pójść. Pamiętaj co Gib powiedział o zmianie ustawień generatora Marco, tak by rezonował z tym blokującym urządzeniem. Gib może to zrobić; ja, nie. Ty zaś jesteś…

— Za stary i za gruby — dokończył za niego Stryker. — I cholernie powolny oraz gadatliwy. Oczywiście, masz rację.

Po tym zakończyli spotkanie i zostawili Xaviera na straży, na noc. Mech był nieskończenie bardziej czujny i czuły na zbliżających się intruzów, niż którykolwiek z ludzkich członków załogi. Jednak świadomość tego, nie uczyniła snu Farrella, spokojniejszym.

Drzemał nerwowo, budząc się tej nocy kilkanaście razy, aby wypalić papierosa, albo rozmyślać bezowocnie nad tym co go może czekać w kopule. Kiedy Xavier ze swą monotonną uprzejmością wezwał go na śniadanie, Farrell wyrwał się zlany potem z obrzydliwego koszmaru, w którym monstrualne pszczoły groziły mu bzyczącymi, obcymi głosami.

Farrell był już w połowie drogi trawiastym zboczem do wioski, kiedy zdał sobie sprawę, że Marco ciągle był pod strażą. Zbliżywszy się na tyle blisko, by rozpoznać strażnika, zobaczył że tym razem był to Tarvil, Sadrianin który jako pierwszy zbliżył się do statku. Spojrzenie tubylca zmierzyło pakunek na ramionach Farrella, złożony z urządzeń testujących oraz audiofonu, omiotło następnie ręczną latarkę i blaster za pasem Terranina, po czym ześlizgnęło się na bok, bez żadnej widocznej zmiany wyrazu twarzy wartownika.

— Idę do środka kopuły — powiedział Farrell. Próbował ukryć niepewność w głosie i poczuł błysk irytacji, kiedy mu się to nie udało. — Czy jest jakieś tabu, które tego zabrania?

Tubylec bez słowa ruszył za nim, pieczołowicie zachowując odstęp dziesięciu stóp, i szli dalej razem, przedzierając się przez przesiąkniętą rosą trawiastą równinę, która w promieniach wczesno-porannego słońca błyszczała jak pole diamentów. Kiedy zbliżyli się do wioski, wyłonił się z niej właśnie tradycyjny exodus dorosłych oraz na wpół wyrośniętych dzieci, wychodzących w milczeniu na pola.

— Niesamowici są ci biedacy — powiedział Farrell do mikrofonu swego audiofonu. — Nawet nie otrą się łokciami przy pracy. Można by pomyśleć, że boją się jakiejś zarazy.

Głos Strykera zabrzmiał mu metalicznie w uchu.

— To przestanie być dla nas dziwne, kiedy poznamy ich motywacje. Arthurze, zaczynam myśleć, że ta ich powściągliwość ma podłoże religijne, że to pozostałość systemu kontroli niewolników, stworzonego by zapobiegać buntom, poprzez wymuszenie na nich wzajemnej izolacji.

Biorąc pod uwagę, co oni musieli wycierpieć od Hymenopów, to cud, że w ogóle zachowali zdrowe zmysły.

— Zgadzam się co do pochodzenia religijnego — odparł Farrell. — Ale nie postawiłbym nawet centykredyta na ich zdrowe zmysły. Myślę, że wielu z nich, to kompletne świry.

Wioska nie opustoszała zupełnie, ale jeśli chodzi o pojawienie się w niej Farrella, równie dobrze mogłoby tak być. Parę kobiet i dzieci, które widział na ulicach, zignorowało go – i Tarvila – kompletnie.

Napotkał tylko jedną oznakę zainteresowania swoją osobą, kiedy nagi chłopiec w wieku może sześciu lat, zaczął mu się z ciekawością przyglądać i zapytał o coś dziecięcym sopranem, towarzyszącą mu kobietę. Kobieta odpowiedziała pojedynczym ostrym słowem i uderzyła dziecko w twarz, tak że upadło na ziemię.

Farrell przekazał informację o incydencie.

— Powiedziała „Cicho!” i powaliła go ciosem na ziemię, Lee. Wcześnie zaczynają to swoje szkolenie.

— Tego rodzaju obojętność, nie może być wrodzona — stwierdził Stryker. W jego metalicznym mamrotaniu pojawił się ton zaintrygowania. — Ale oni są już wolni od czterech pokoleń. Trudno uwierzyć, że jakieś zaimplantowane siłą mechanizmy kontrolne, mogłyby przetrwać i funkcjonować tak długo.

Cień zasłonił słońce, dając Farrellowi lekką ochłodę, kiedy popatrzył w górę na wielki zaokrąglony garb wznoszącej się przed nim kopuły.

— Teraz mam zamiar wejść do kopuły — zgłosił. — Wygląda podobnie do innych – żadnych wejść poza tymi na poziomie ziemi, gdzie jest nimi wręcz cała podziurawiona.

Tarvil nie towarzyszył mu do środka. Farrell obejrzał się w najbliższym otworze wejściowym naciskając przycisk latarki, i zobaczył że tubylec przykucnął na piętach i spoglądał za nim, bez najmniejszego śladu zainteresowania.

— **J**estem na poziomie gruntu — zameldował nieco później Farrell, — zdaje się, w jakichś pomieszczeniach magazynowych. Teraz są puste, wszędzie widać grubą warstwę kurzu, poza korytarzami używanymi przez tubylców, kiedy przychodzą tu co rano. Jak na razie, żadnych śladów Hymenopów.

W głosie Strykera pojawił się niepokój.

— Uważaj bardzo na pułapki, Arthurze. To miejsce może być zaminowane.

Górną część kopuły, jak Farrell wiedział z wcześniejszych doświadczeń, jakie miały miejsce w ciągu lat po okupacji Hymenopów, powinna być wypełniona kabinami sypialnymi, upakowanymi w plastry miodu, dla oszczędności miejsca. Ruszył więc spiralną rampą w dół, na poziom położony bezpośrednio pod powierzchnią ziemi, czując dreszczyk odkrywcy, kiedy znalazł się w komorach audiencyjnych, będących aż do przybycia Marco codziennym celem pielgrzymek sadriańskich tubylców.

Poziom ten był całkowicie wypełniony przez puste, dziesięciostopowe przedziały. Każda z mnóstwa komór zdominowana była przez tajemniczą, metaliczno-kryształową podobiznę głowy Hymenopa, umieszczoną na metalowej ścianie, naprzeciwko wejścia z korytarza. Po obu stronach okrągłej kratki głosowej, do wnętrza pomieszczenia sterczały antenki, nieprzyjemnie, ostrzegawczo, zaś fasetowe kryształowe oczy świeciły lekko w niemal zupełnej ciemności. Sztuka ich wykonania była doskonała, stylizowana na obcy Farrellowi sposób tworzenia obrazów, i personifikująca z niepokojącym realizmem bezduszną, arogancką efektywność hymenopiego umysłu-roju. Według Farrella wokół każdego z tych obrazów, unosiła się posępna atmosfera hipnotycznego otępienia.

— To coś nowego, jeśli chodzi o eksperymenty Hymenopów — zameldował Strykerowi. — W żadnej z kopuł, które znaleźliśmy wcześniej, nie było niczego podobnego. Te artefakty mają jakiś wpływ na stan w jakim są tubylcy, Lee – do każdego wizerunku prowadzi wydeptana w kurzu ścieżka, i widać że ludzie przed nimi klękają. Nie podoba mi się to. Mam przeczucie, że niezależnie od tego, do czego miały być użyte te przeklęte bożki, udało się to nawet aż za dobrze.

— To nie mogą być bożki — stwierdził Stryker. — Hymenopi zbyt dobrze wiedzieli, jak trudno jest całkowicie wyprzeć antropomorfizm z ludzkich wierzeń religijnych. Myślę jednak, że masz rację co do tego, że ten eksperyment zadziałał zbyt dobrze. Żaden zwykły nakaz nie wytrzymałby aż tak długo. Okresowa hipnoza? Poczekaj, Arthurze, jest pewna rzecz, którą chciałbym sprawdzić z Gibsonem…

Wrócił chwilę później, dysząc z podekscytowania.

— Gib uważa, że jestem na dobrej drodze – okresowa hipnoza. Hymenopi musieli przydzielić konkretną komorę i wizerunek, każdemu niewolnikowi. Wizerunki są mechami, mesmerystycznymi robotami zaprojektowanymi do utrzymywania i odnawiania przymusu izolacji tubylców. Post-hipnotyczna sugestia zmusza tych biedaków do powrotu tutaj każdego ranka oraz przyprowadzania ze sobą dzieci, nawet po wycofaniu się Hymenopów. Nie mogli się z tego wyrwać, dopóki generator fali promieniowej Marco nie spowodował wyłączenia się siłowni kopuły i nie dezaktywował wizerunków. I teraz, tubylcy, kiedy są wolni wcale nie czują się ani odrobinę lepiej. Nie wiedzą jak…

Farrell nie usłyszał już reszty zdania. Coś uderzyło go mocno w tył głowy.

Kiedy odzyskał przytomność, leżał nagi, bezbronny i zagubiony. Szmery zbliżającego się pościgu, bezcielesne i straszne w otaczających go ciemnościach, sprawiły że wpadł w zupełną panikę i uciekał przez przerażającą wieczność, co doprowadziło go w końcu na najniższy poziom kopuły, do siłowni Hymenopów.

Z wahaniem podszedł do ciemnego kształtu cylindra generatora fali pierścieniowej, w równym stopniu przyciągany jego znajomym wyglądem, jak popychany przez podążające za nim zagrożenie. U podstawy ogromnej

maszyny dostrzegł pulpit sterowniczy, o kompletnie nieznanej mu konstrukcji, pełen tarcz mierników i przełączników, ewidentnie przeznaczonych dla obcych rąk.

W tej grobowej ciszy usłyszał nagle brzęczący pomruk głosu Strykera, dźgający go straszliwą myślą, że oszalał.

Zobaczył wtedy, że pod pulpitem sterowniczym leży jego torba ze sprzętem, nienaruszona. Głos Strykera pomrukiwał z głośnika audicomu.

— Jesteśmy w kopule, Arthurze. Gdzie jesteś? Na którym poziomie…

Farrell schwycił audicom, pchnięty przez nagły przypływ szalonej nadziei.

— Jestem na samym dnie kopuły, w pomieszczeniu generatora fali pierścieniowej. Zabrali mi broń i latarkę. Pośpieszcie się, na miłość Boską!

Ciemności zrezygnowały z ukradkowego szurania obutymi w sandały stopami, szelestów wielu pełnych napięcia ludzkich oddechów. Ktoś zaskamlał, niemalże jak pies, żałośnie. W odpowiedzi sadriański głos ostro wysyczał:

— Cisza!

Metaliczny pomruk Strykera oznajmił:

— Arthurze, namierzamy twoją falę nośną. Użyj narzędzi, które ci zostawili. Zapędzili cię tam, żebyś naprawił generator, żebyś przywrócił zasilanie, które podtrzymuje działanie ich wizerunków. Zacznij coś robić!

Farrell, jedynie na wpół rozumiejąc jak powinien się zachować, wziął do ręki torbę z przyrządami. Jego ruch wywołał głośne szmery w ciemnościach; głos zaskamlał ponownie, udręczony jęk, który targnął nerwami Farrella, jak smyczek strunami skrzypiec.

— Oddaj mi mój Głos. Jestem sam i boję się. Muszę otrzymać Poradę…

Pod powierzchnią płaczu, Farrell wyczuł wyrażone w ten niesamowity sposób przerażenie, które przeważyło ciemności, kryjącą się milczących oddechach grozę i nabrzmiewające uczucie odrazy.

Jego uszy wychwyciły cichy szmer kotłujących się ciał, sapania i walki. Skamlenie ustało.

Torba z przyrządami wyślizgnęła się Farrellowi z dłoni. Niemal natychmiast po rozdzierającym nerwy odgłosie uderzenia o metalową podłogę, rozległ się głos Strykera, silniejszy, jakby coraz bliższy.

— Spokojnie, Arthurze. Zabiją cię, jeśli urządzisz scenę. Zbliżamy się, Gib, Xav i ja. Nie strać tylko głowy!

Farrell przykucnął, opierając się plecami o zimną krzywiznę generatora fali pierścieniowej. Walczył z przemożną chęcią ucieczki, z tak ogromnym wysiłkiem, że wpadł w niemożliwą do opanowania drżączkę. Spazm narastającego w nim krzyku wyrywał mu się z piersi. Zepchnął go jednak gwałtownie w głąb siebie, tłumiąc przerażenie, którego nie dało się dostrzec, namacalnie uchwycić, żeby można było z nim walczyć.

Powoli jednak już się poddawał, kiedy w ciemnościach zabuczał pozbawiony emocji głos Xaviera:

— Spokojnie. Możliwość uzyskania Porady, zostanie wam przywrócona.

Nagle zalała go powódź światła, nie do zniesienia po tak długim okresie przebywania w ciemności. Farrell pochwycił przelotny obraz Gibsona,

pędzącego ku niemu przez rozpraszający się w milczeniu krąg Sadrian, jego kwadratowej twarzy otoczonej cieniem i światłem aktynicznej flary.

Potem zemdlał.

Obudził się przypięty do swojej koi w pomieszczeniu z mapami. Marco Cztery był już w kosmosie; na ekranie wizyjnym Farrell widział kurczący się półksiężyc Sadr III, a za nią, w ciemnych głębinach kosmosu gwałtownie pałające białe oko Deneba oraz ognisty płomień Albireo, niebieskiego i żółtego bliźniaka.

— Odlatujemy — stwierdził, zbity z tropu. — Co się stało?

Stryker podszedł do niego i odpiął go. Gibson, który grał w szachy z Xavierem, na stole do wykreślania kursu na mapach, uniósł na chwilę wzrok i wrócił do swego gambitu.

— Przestawiliśmy generator w kopule, tak by był w fazie z naszym i przytaszczyliśmy cię stamtąd na statek — pokrótce objaśnił Stryker. Powrócił mu już dobry humor, jego tłusty brzuch drżał od wzbierającego w nim śmiechu. — Skończyliśmy naszą robotę tutaj. Reszta jest już w rękach Reorientacji.

Farrel gapił się na niego z otwartymi ustami:

— Stawiasz krzyżyk na Sadr III?

— Zrobiliśmy wszystko co było można. Ci Sadrianie potrzebują więcej niż może im oferować nasza niewielka wstępna ekspedycja. W tej chwili ochoczo się poddają sztywnemu kodeksowi religijnemu, który nie pozwala żadnemu z nich na zwierzenie się komuś innemu ze swoich potrzeb, nadziei, ideałów czy problemów. Wzajemne zaufanie jest dla nich największym świętokradztwem.

— Oni są szaleni! Muszą być, nie mając żadnej innej możliwości emocjonalnego katharsis poza tym!

— Oni wcale nie oszaleli, oni się przystosowali. Te roboty-wizerunki, które znalazłeś, są dla ich cywilizacji wszystkim: arbitrami, agentami handlowymi, nadzorcami i spowiednikami – wszystkim w jednym. One nie tylko przekazują potrzeby fizyczne między jednym tubylcem a drugim; one wysłuchują wszystkich problemów i oferują ich rozwiązania. One są Doradcami, pamiętasz? Instynkty stadne człowieka wywodzą się w dużym stopniu z jego potrzeby do dzielenia się problemami z innymi. Hymenopi wyszli tu ze skutecznym substytutem, i tubylcy przyjęli go jako normę.

Farrell skrzywił się z nagłym zrozumieniem.

— Nic dziwnego, że ci biedacy pękali na lewo i na prawo. Kidy zdechł generator fali pierścieniowej, to tak jakby nagle oślepili i ogłuchli! Nie potrafili nawet zebrać się razem, żeby się naradzić i wymyślić jakiś sposób wyjścia z tej sytuacji.

— W końcu to załapałeś — zgodził się Stryker. — Wiedzieli, że to my jesteśmy odpowiedzialni za ich katastrofę, ale nie byli w stanie nawet zebrać się i poprosić nas o pomoc, ponieważ jesteśmy istotami ludzkimi, takimi samymi jak oni. A więc, jeden po drugim zaczęli szaleć i popełnić największe bluźnierstwo, wykrzykując publicznie swoje zmartwienia, a ich

rodacy musieli ich zabić, albo zaaprobować to świętokradztwo. Teraz już się uspokoili. Do czasu zanim przylecą tu chłopcy z Reorientacji, powinni być już dosyć łatwi we współpracy.

Zaczął chichotać.

— Zostawiliśmy im działających Doradców, ale rozłączyliśmy obwody odświeżające wpływy hipnotyczne. Od tej pory będą dostawać tylko to czego potrzebują, to jest ujście dla swych osobistych obciążeń. A przy braku post-hipnotycznych przymusów, zaczną skłaniać się do bliższych związków między sobą. Zapewnia to instynkt stadny człowieka. Po kilku pokoleniach, chłopcy z Reorientacji będą mogli zrobić z nich normalnych Terran i przejść do jakiegoś kolejnego planetarnego domu wariatów, który dla nich wykopiemy.

Farrel stwierdził ze zdumieniem:

— Nigdy bym nie pomyślał, że potrzeba wzajemnego zaufania może być taka ważna. Ale rzeczywiście musi tak być, wszystko na to wskazuje. Ty i ja często rozmawiamy ze sobą o naszych osobistych problemach, zaś Gib…

Przerwał, żeby obrzucić wzrokiem skupioną nad szachownicą parę, porównując spokojną samowystarczalność Gibsona do uprzejmej mechanicznej kompetencji.

— Jest pewien wyjątek dla twojej teorii, Lee. Żelazny Człowiek Gibson, nigdy w życiu nie zwierzył się z żadnego swojego zmartwienia!

Stryker roześmiał się.

— Tu możesz mieć rację. I co ty na to, Gib? Czy kiedykolwiek czułeś potrzebę skorzystania ze ściany płaczu?

Gibson na moment uniósł głowę znad gry. Jego kwadratowa twarz była jak zwykle opanowana.

— No pewnie. Czemu nie. Opowiadam o swoich zmartwieniach Xavierowi.

Kiedy patrzyli beznamiętnie na siebie nawzajem, dorzucił jeszcze najbliższą dowcipowi kwestię, jaką Farrell i Stryker kiedykolwiek od niego usłyszeli:

— To układ wzajemny. Xav zaś zwierza się mnie.

KONIEC